

Kobieta
w wielkim
mieście

Katarzyna
Ołubinska

Wydawnictwo
WAM



Marzenia

*Ja bowiem znam zamiary, jakie mam wobec
was – wyrocznia Pana – zamiary pełne
pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam
przyszłość, jakiej oczekujecie.*

Jr 29,11



Kiedy byłam małą dziewczynką, marzyłam o tym, żeby zostać kwiaciarką. Już jako dziecko kochałam kwiaty i dostrzegałam piękno przyrody. Swoje najmłodsze lata spędziłam w malowniczych miejscach. Zanim przeprowadziliśmy się do Kruszwicy, legendarnej stolicy Polski położonej nad jeziorem Gopło, mieszkaliśmy w Inowrocławiu przy ulicy Solankowej, w urokliwej willowej dzielnicy Solanki. Razem z bratem i dziećmi sąsiadów całymi popołudniami bawiłam się za domem w ogrodzie, pełnym pszczół, ptaków, kolorowych kwiatów, drzew i krzewów owocowych oraz tajemniczych zakamarków. To miejsce rozbudzało wyobraźnię. Godzinami mogliśmy biegać za motylami po krętych drózkach ogrodu, przy których rosły maciejki i niezapominajki. Uwielbiałam ten ogród.

Codziennie w drodze do szkoły podstawowej imienia Stanisława Staszica, do której chodziłam w granatowym mundurku z obowiązkowo przyszytą na ramieniu tarczą i czerwoną odznaką „wzorowy uczeń”, dźwigając ciężki, za duży tornister, mijałam kwiaciarnię w zielonej budce w kształcie karety, prowadzoną przez starszą elegancką panią z siwym kokiem. Oczywiście zawsze bardzo mnie do niej ciągnęło. Na początku tylko się zatrzymywałam i przyglądałam z ciekawością, jak jej szczupłe dłonie zręcznie układają kolorowe bukiety. Mogłam tak stać i stać. Pewnego razu kobieta zauważyła mnie i zaprosiła do środka. Miała dla mnie małe, połamane kwiatki, które uszkodziły się podczas przygotowywania bukietów. Odłożyła je specjalnie dla mnie. To było cenniejsze niż skrzynia złota. Czy mi się zaświeciły. „Śmiało, podejdź. Będiesz układać ze mną” – powiedziała zachęcająco. Duma mnie rozpierała. Zrobiłam swój pierwszy profesjonalny bukiet. Miałam może z osiem lat. Tamta kobieta, której imienia nawet nie pamiętam, zauważyła we mnie ciekawość, odkryła pasję, uwierzyła w mój talent, obudziła marzenia.

Kobiecość to dla mnie właśnie ta spostrzegawczość, umiejętność widzenia dobra i piękna, pasji i talentu. To dawanie życia nie tylko dosłownie, ale też w głębszym znaczeniu. To budzenie marzeń i inspirowanie innych,

to czułość, bliskość i wrażliwość. Pasja, miłość i walka. Ciepło i empatia. To też słynna kobieca intuicja. Piękno i delikatność w połączeniu z siłą. Godność. To emocje, wrażliwość i upór, bo wiadomo, że jak się kobieta na coś uprze, to nie ma sposobu, żeby ją powstrzymać. To umiejętność stawiania granic i zawalczania o dobre relacje, o siebie. To odwaga, aby codziennie od nowa sięgać po swoje marzenia.

Chociaż kwiaciarką ostatecznie nie zostałam, nadal Kocham układać bukiety i nieustannie marzę, że kiedyś rozwinę się w tym kierunku. Tymczasem moje dziecięce plany zaczęły zmierzać w inną stronę. Kolejne marzenie: będę miss. Zostanę Miss Polski, a kto wie – może i Miss Świata? Podobnie jak Aneta Kręglicka będę chodzić w koronie i zajmować się ważnymi rzeczami: pokojem na świecie i innymi sprawami. Nie wiedziałam wtedy jeszcze do końca jakimi, ale z pewnością musiały być ważne. Skoro miss chodzi w koronie, to jest przecież w jakimś sensie królową. Kobiecość to też godność. Godność właściwa królowej.

Nie jestem pewna, co dokładnie było po etapie miss, ale doskonale pamiętam, kiedy postanowiłam, że zostanę dziennikarką i napiszę książkę. Pierwszy tekst wyszedł spod mojego pióra do szkolnej gazetki w podstawówce. Ku mojemu zdziwieniu zauważyłam, że pisanie przychodzi mi łatwiej niż cokolwiek innego. Myśli jakby same płynęły. Mogłam tak pisać i pisać godzinami. Sprawiało mi to przyjemność. Wtedy nie były powszechne telefony komórkowe i komputery. Takie wynalazki oglądałam znacznie później w zagranicznych serialach. Kiedy chodziłam do szkoły podstawowej, tekst pisało się odręcznie, więc ładne, czytelne litery też były ważne. Mimo że się starałam, od kiedy pamiętam, skrobałam jak kura pazurem, tak mi się spieszyło, tyle miałam w głowie historii. Niedługo później zaczęłam redagować szkolną gazetkę, a w liceum pisałam już do lokalnej prasy prawdziwe, dorosłe artykuły, głównie o ciekawych ludziach. Zawsze marzyłam o takim życiu: pełnym pasji. Uwielbiałam te spotkania – moje pierwsze wywiady. Pasjonowałam się interesującymi historiami i ludźmi. Pasja wydobywa piękno nawet z niepozornych osób,

ono z nich tryska, buzuje w nich i udziela się innym. Kiedy z nimi rozmawiałam, kiedy o nich pisałam – zapominałam o całym Bożym świecie. Uwielbiałam widzieć efekt swojej pracy i wiedzieć, że poszło dobrze, że ten wywiad, historia, reportaż są świetne i inspirują innych. Na tym chyba polegała dla mnie wtedy magia dziennikarstwa. Czułam jakąś niezwykłą siłę w tym, jak można zmieniać świat słowem. Tak odkryłam tę swoją największą pasję.

Dziennikarstwo miało dla mnie zawsze niezwykłą otoczkę. Z zapartym tchem obserwowałam eleganckie prezenterki w Telewizji Polskiej. Podziwiałam z roziskrzonymi oczami Krystynę Loskę i jej miękkie blond loki, uśmiech, opanowany głos, i chciałam być taka jak ona. Odkąd pamiętam, bawiłam się z braćmi i kuzynostwem w programy telewizyjne, na przykład *Koło Fortuny*. Oczywiście najczęściej odgrywałam rolę prowadzącej. Z mikrofonem przed lustrem nie stałam i nie ćwiczyłam. Byłam na to zbyt nieśmiała. Wtedy jeszcze bałam się spojrzeć w oczy swoim ledwie kielkującym marzeniom, że kiedyś będę taka jak te kobiety na ekranie. Z perspektywy mojego małego miasteczka mogły się wydawać odległe, ale tym się jakoś wtedy nie przejmowałam. Może to dzięki żeglarsztwu, które było rodzinnym sportem i sposobem życia, może dzięki rodzicom, a zwłaszcza tacie, który zawsze powtarzał, że mogę być, kim tylko chcę, i świat stoi przede mną otworem, zawsze wierzyłam w swoje marzenia i czułam, że warto za nimi podążać. Motywowała mnie też świadomość, że mam za sobą rodziców, rodzinę, że choćby nie wiem co się stało, oni zawsze będą. Więc ostatecznie nie potrafię stwierdzić, czy to rodzice, czy moja konsekwencja, wiara, Opatrzność, czy też po prostu szczęście sprawiły, że to marzenie z dzieciństwa się spełniło i dziś mogę zarabiać na życie, robiąc to, co lubię najbardziej.

Pierwsza propozycja pracy w telewizji przyszła do mnie, o dziwo, sama. W tamtej chwili myślałam, że to potęgą umysłu, bo tak bardzo o tym marzyłam. Dziś wiem, że to była Opatrzność. Jako studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika i stażystka w lokalnej gazecie

w Toruniu pojechałam na reportaż w zastępstwie starszego redaktora, który się rozchorował dzień wcześniej. Na miejscu nagrania było kilka różnych ekip. Dziennikarz z tamtejszego ośrodka telewizyjnego sam mnie zaczął: „Hej, otwieramy nowy oddział w Toruniu. Szukamy stażystki. Może byś spróbowała. Przyjdiesz na casting?”. „Pewnie” – odparłam bez namysłu. Ten człowiek chyba nie miał świadomości, że właśnie otwiera przede mną drzwi do mojego marzenia. Ot tak, po prostu poszłam i wygrałam. Przez cały czas studiów dziennych jednocześnie pracowałam, robiąc staż, a do tego łapałam się dorywczych zleceń, na przykład pracy na promocjach, żeby dorobić. Bywało intensywnie, ale w ogóle mi to nie przeszkadzało. Miałam swoje marzenie, miałam plan. Powoli, krok po kroku, uczyłam się coraz więcej o zawodzie, który stał się moją drugą skórą. Po studiach wyjechałam do Warszawy i tam postanowiłam spróbować swoich sił. Zaczynałam od zera, z prawie pięcioletnim doświadczeniem z czasu studiów, jedną torbą w rękę i głową pełną marzeń. Nie zawsze było łatwo, ale nie widziałam powodu, dla którego miałabym się poddawać. „Dlaczego niby miałyby się nie udać?” – myślałam. Marzenia były moją busolą.

Po wielu latach, już kiedy byłam dorosłą kobietą i dziennikarką porannej telewizji *Dzień Dobry TVN*, niespodziewanie podczas Wielkiego Tygodnia wydarzyło się coś, o czym nawet nie marzyłam, i nie przyszłoby mi do głowy, żeby napisać taki scenariusz. Nie miałam na to żadnego wpływu, a zmieniło się całe moje życie. W ogromnym poczuciu pustki zawołałam o ratunek do Boga, a On odpowiedział. Wiem, jak to brzmi, ale tak właśnie było. Bóg odpowiedział tak realnie, jakbym wybrała numer alarmowy, a po drugiej stronie ktoś odebrał telefon. To doświadczenie było tak silne, że nie mogłam już żyć tak jak dawniej. Dzień po dniu zaczęłam nagle odkrywać niemal namacalne istnienie Boga i uwierzyłam, że On jest żywy i naprawdę jest blisko, nawet w wielkim mieście. Zaczęłam spotykać ludzi takich jak ja, którzy w jakiejś swojej pustce, tęsknocie czy na zakręcie doświadczyli podobnego spotkania. Nie mogłam o tym wszystkim, co się wydarzyło, milczeć. Postanowiłam to opisać. Założyłam blog *Bóg w wielkim mieście*, a później napisałam

książkę pod tym samym tytułem, która była zapisem moich rozmów z ludźmi o podobnych doświadczeniach. Książkę zadedykowałam moim kochanym dziadkom, którzy mieli ważne miejsce w moim sercu, zawsze we mnie wierzyli i motywowali do spełniania marzenia o pisaniu.

To marzenie się ziściło. Tytuł książki był inspirowany tytułem jednego z moich ulubionych seriali, *Seks w wielkim mieście*, bo opowiadałam w niej o życiu takim jak to serialowe: pełnym pięknych ludzi, którzy szukają miłości, gonią za sukcesem i kochają życie. To był taki świat, jaki mnie otaczał. Jak to powiedział jeden z moich znajomych: świat ładnych blondynek w białych bluzkach. Tak on to zobaczył ze swojej perspektywy. Może miał trochę racji. Piękno, młodość i uśmiech były tu, od kiedy pamiętam, pierwszą religią. Uśmiech zawsze i za wszelką cenę, oczywiście błyszczący śnieżnobiałymi zębami. Byłe nie pokazać słabości. Do tego perfekcjonizm. To niepisane zasady. Podczas prywatnego spotkania maski spadają i nagle widzisz, że każda z tych – na pierwszy rzut oka – twardzielek z czymś się zмага i że pozory często mylą. Taka byłam i ja. Twarda na zewnątrz, zagubiona w środku. To moje wielkie miasto było i jest też jednak wspaniałe. Z jednej strony dający tyle fantastycznych możliwości świat, z drugiej – świat pełen pozorów szczęścia, tak naprawdę pustynia. To był mój świat. Moja Warszawa.

Różnica między światem kultowego serialu a moją historią, pomijając oczywisty fakt, że tamta rzeczywistość była wymyślona, a moja prawdziwa, sprowadzała się do tego, że opowiedziałam o tym, o czym tam nie było mowy. Napisałam szczerze o pustce, tęsknocie i zagubieniu, o słabości, o lęku. Opowiedziałam o niszczących relacjach, po których trudno się otrząsnąć ot tak, o nocach prześlakanych w poduszkę. O rozpaczliwym szukaniu szczęścia, o tęsknocie za Bogiem, za tym, żeby tam, na górze, naprawdę Ktoś był. O samotności przeżywanej we własnym, małym mieszkanku, w towarzystwie komputera i tego, co zapisane w komentarzach. O miłości, która nie działa na odległość. O braku czasu. O cenie sukcesu, której nie widać na kolorowych okładkach. O tym,

że miłość nie zawsze ma happy end, kariera nie zawsze jest oszołamiająca, że przyjaciele odchodzą, że najbliżsi ranią. O tym, że nie jesteśmy nieśmiertelni, że nie mamy recepty na szczęśliwy związek. W końcu opowiedziałam o najważniejszym: o Bogu, który jedyny w tym kruchym, zmiennym świecie jest prawdziwą, wierną, wieczną i niezmienną miłością. O Bogu, który nas nie ocenia i nie rozlicza, tylko zawsze czeka, stęskniony i kochający. O Bogu, który jest miłosierny.

„Życzliwi”, słysząc o książce o Bogu, radzili, żebym sobie podarowała, że to nie na te czasy, trochę obciach, nikogo to nie obchodzi, nikt dziś nie wierzy w „takie bajki”. Nieważne. Ja wierzyłam, podobnie jak ludzie, których historie opisywałam. Jeśli raz doświadczysz tej Miłości z nieba, nie da się tego wymazać z serca. Tak właśnie prosto, szczerze i z serca podzieliłam się swoją historią. Tak otwarcie i szczerze podzieliły się swoimi historiami gwiazdy i powstała moja „różowa książka”. Różowa jak promienie wschodzącego słońca w poranek Zmartwychwstania, bo była o życiu, które jest silniejsze niż śmierć, o prawdziwej, a nie tylko powierzchownej radości, o nadziei.

Ku mojemu zaskoczeniu na spotkania autorskie w całej Polsce zaczęły przychodzić tłumy kobiet. Okazało się, że wiele z nich miało te same zmagania, problemy, tęsknoty co bohaterki książki, co ja, i tę samą trudną do opisania tęsknotę za prawdą, bliskością, miłością i głębszym sensem, która okazywała się tęsknotą za Bogiem. Było ich tyle, że czasami ledwo mieściłyśmy się w sali. Młode, piękne, zadbane, wykształcone, opowiadały mi swoje historie, w które niejednokrotnie aż trudno mi było uwierzyć, i zadawały mi wiele głębokich pytań, na które nieraz nie miałam odpowiedzi, bo przecież sama ich szukam. Pytały o moją historię, o wiarę, dziennikarstwo, miłość, wartości, wybory, marzenia, o Boga w wielkim mieście. Wtedy zauważyłam, jak wiele nas łączy, jak wiele mamy ze sobą wspólnego. Nierzadko siedziałyśmy jeszcze długo po godzinach spotkania, rozmawiając o naszych dylematach, marzeniach, miłości – tak blisko i otwarcie, jakbyśmy się znały od dawna.



Pamiętam swoje zdenerwowanie przed spotkaniem autorskim – bałam się, że nikt nie przyjdzie, a później przeżyłam ogromne zdumienie i wzruszenie, kiedy ujrzałam salę wypełnioną po brzegi. Moje zaskoczenie było jeszcze większe, kiedy słuchałam tych wszystkich historii. Byłam zdumiona, ile bólu, determinacji, ile niesamowitych „przypadków” (cudzystów jest dlatego, że nie wierzę w przypadki, myślę, że są sposobem Boga na to, aby pozostać niewidzialnym). Ile burzliwych przeżyć i emocji w tych dziewczynach, wyglądających tak pięknie, modnie, elegancko, tak spokojnie. Nigdy bym nie pomyślała, że musiały tyle przeżyć. Wszystkie przecież lepiej lub gorzej, ale generalnie na pozór świetnie sobie radziły. Nie miały wypisanych na twarzy wszystkich przeżyć, które były w ich sercu: bolesnych wspomnień z dzieciństwa, zawodu miłostego, samotności, tęsknoty, problemów z chorobą kogoś bliskiego, strachem, mobbingiem, zagubieniem. Tyle w nich wrażliwości, spostrzegawczości, tyle piękna, tyle tęsknoty.

Potwierdziło się to, co myślę o kobietach. Że w wielkim czy małym mieście jesteście tak różne i tak podobne jednocześnie. Z jednej strony wszystkie niezwykle, wielowymiarowe, o różnych pięknych marzeniach i z różnym bagażem życiowym, każda wyjątkowa. Z drugiej strony tak zwyczajnie podobne do siebie w tęsknocie za miłością, trosce o bliskich, w sile i konsekwencji w podążaniu swoją drogą zawodową, w wątpliwościach, czy są wystarczająco dobre.

Zadziwiającym prezentem były dla mnie te spotkania, z których wyjeżdżałam z głową i sercem przepelnionymi historiami kobiet. Każda z nich i każda z tych historii mogłaby śmiało stać się tematem osobnej książki. Wtedy powoli zaczęła mi towarzyszyć myśl, że kolejna książka, którą napiszę, będzie o kobietach i dla kobiet właśnie. O kobietach w wielkim mieście, szukających miłości, dobra, piękna, prawdy i Boga. O kobietach – mamach, żonach, singielkach. O kobietach dzielnych i pięknych, i to nie tylko zewnątrz. O tych, które codziennie pokonują swoje ograniczenia i lęki, aby żyć mądrzej i piękniej. O kobietach,

które same musiały dużo w sobie pokonać i zawalczyć o siebie, żeby być tam, gdzie są, i takie, jakie są. Tak zaczęła się rodzić nowa książka o kobietach w wielkim mieście. Tym razem zadedykowałam ją rodzicom w podziękowaniu za dar życia, ich miłość, wsparcie i wiarę w marzenia, którą mi wpoili.

Kobiety są dla mnie fascynujące. Każdego dnia jako dziennikarka, ale też prywatnie – poza pracą – spotykam niezwykle kobiety, które podziwiam, które mnie inspirują. Część z nich mam szczęście nazywać przyjaciółkami. Inne znam tylko ze swoich wywiadów czy przelotnych spotkań podczas nagrań. Wszystkie mniej lub bardziej wpływają na moje życie. Codziennie, kiedy rozglądam się dookoła, jestem wdzięczna za kobiety w moim życiu: za moją mamę i świętej pamięci babcię, za przyjaciółki, za kobiety, które są blisko, których oddanie i przyjaźń nieraz były wsparciem w gorszych chwilach. Za te, które wnoszą do życia mojego i innych piękno, dobro i nadzieję. Postanowiłam, że ta książka będzie takim spotkaniem z kobietami, które mają w sobie słońce, są piękne – nie tylko fizycznie, które inspirują do życia pełnią.

Chciałabym, żeby to było takie niespieszne spotkanie w wygodnym fotelu z kocykiem, z filiżanką kawy lub herbatą w ulubionym kubku, żeby to był oddech od codziennej pogoni, hałasu, nawału obowiązków, męczących myśli, osądzania, wiecznych ocen i ludzi oraz przymusu bycia idealną i posiadania opinii na każdy możliwy temat. Chciałabym, żeby to był dla moich czytelniczek czas spędzony z samą sobą. Żeby to był czas pochylenia się z troską, miłością i czułością nad samą sobą i momentem, w którym jestem. Chciałabym, żeby to był czas spędzony w czułym świetle Bożej miłości, moment spojrzenia z ufnością w niebo.

Pisać o kobietach wcale nie jest łatwo. Z jednej strony nie ma chyba ciekawszego tematu. Kobiecość to przecież cała gama przeżyć, wspomnień, marzeń, doświadczeń, uczuć i rozmyślań. To cała historia walki o emancypację. Z drugiej strony każda kobieta, dosłownie każda, to przecież

osobna galaktyka, to podróż do nowego świata, za każdą kryje się jakaś niezwykła opowieść, jakieś zmaganie. Mamy też różne obrazy kobiet i różnie rozumiemy kobiecość. Chciałabym, żeby ta książka była takim bliskim spotkaniem, jak z przyjaciółką, z którą jest po prostu bezpiecznie i dobrze pobyc razem, bez pośpiechu i żadnego przymusu, zatrzymaniem się na kilka chwil podczas kolejnych planów i obowiązków pędzących dzień po dniu niczym metro w wielkim mieście.

Bliskie, czułe i wrażliwe – takie są te spotkania. Zapraszam w tę niezwykłą podróż do krainy kobiecości. Żeby zajrzeć za jej bramy, trzeba mieć specjalny klucz. U kobiet ten klucz to zaufanie. Ponieważ często polegamy na intuicji, same czujemy, kiedy warto komuś zaufać, zwierzyć się z jakiejś historii i jak daleko możemy się w tej opowieści, w tym odśłanianiu siebie i swojej duszy przed drugim człowiekiem posunąć. Dlatego jestem wdzięczna bohaterkom tej książki, że odważyły się zaufać mnie i Wam, bo to przed Wami odkrywają najbardziej intymną historię swojego życia.

Oddaję w Wasze ręce inspirujące opowieści ośmiu niezwykłych kobiet, które szczerze lubię i podziwiam. Może Wam się wydawać, że już dużo o nich wiecie. Te spotkania mogą Was jednak zaskoczyć i pokazać, że wcale tak nie jest. Bo każda z nas, jeśli zajrzeć w jej serce, jest zagadką, i każda z nas ma swoje kobiece tajemnice. Tak jest też z moimi bohaterkami. Dzielę się z Wami również moją historią kobiecości. Chciałabym, żebyśmy razem spojrzały w niebo, bo mocno wierzę, że to Bóg daje miłość, pokój serca i wolność, i codziennie tego doświadczam. Mam nadzieję, że te rozmowy przyniosą Wam, Waszym mamom, siostrom, przyjaciółkom i bliskim kobietom dobre myśli i że dzięki nim chociaż przez chwilę poczujecie się tak, jakby do Waszego domu wpadł promień słońca. Trudno kobiecość zamknąć w jednej definicji, ale nie o definicje mi chodzi. Chodzi o spotkanie z autentycznymi, pięknymi historiami życia, pasji, miłości, marzeń – tych spełnionych i tych, które ciągle na spełnienie czekają.

Moje ulubione książki to biografie znanych kobiet. Fascynuje mnie, jak zawile potrafią się ułożyć losy człowieka, ile zakrętów trzeba czasami pokonać, ile zdobyć szczytów, zanim odkryje się swoje powołanie i osiągnie się ten moment największego spełnienia. Taka Coco Chanel na przykład, kobieta, której nazwisko zna każdy, która zrewolucjonizowała modę, a w okresie międzywojennym zatrudniała w Paryżu trzy i pół tysiąca osób i odnosiła sukces za sukcesem. Kto wie, że dzieciństwo spędziła w sierocińcu, a jej życie mimo osiągnięć zawodowych było pasmem osobistych porażek? Żartowała nawet o sobie, mówiąc: „Jestem sama ze swoimi milionami”. Mało kto wie, z iloma przeciwnościami się zmagала, z jakim osamotnieniem, zanim zrealizowała marzenie życia.

Kobieta jest od wieków zagadką. Trudno podsumować w jednym zdaniu, czym jest kobiecość dziś, ale mogę śmiało powiedzieć, że dla mnie i wielu moich bliskich kobiet to właśnie intuicja i jakieś niezwykle wycucie, nazwijmy to: mądrość serca. Nikt nie umie inspirować tak jak kobiety. Uwielbiam, kiedy kobiety przekazują sobie nawzajem siłę, piękno i mądrość. Wzrusza mnie to szczególnie, gdy dotyczy bliskich kobiet: córek, mam i przyjaciółek. Pamiętniki, listy i liściki, dedykacje, rozmowy, które pozostają na zawsze zapisane w sercach. Kobiety potrafią motywować i dbać o siebie nawzajem jak nikt inny. Często nawet bardziej dbamy o bliskich niż o siebie.

Jedna z moich znajomych, mama trzech córek, kiedy się urodziły, założyła każdej z nich skrzynię skarbów. Wkłada tam różne pamiątki – te związane z narodzinami i kolejnymi ważnymi wydarzeniami, ale też odkłada tam dla swoich córeczek wartościowe książki i kartki z inspirującymi cytataми. To będzie prezent, który dostaną, kiedy skończą osiemnaście lat. Inna z moich bliskich koleżanek, moja siostrzana dusza Agatka, która nazywa mnie Słowiczkiem, a ja ją Latarnią, na osiemnaste urodziny swojej córki przygotowała dla niej przepiękny prezent: księgę mądrości kobiet. Poprosiła dwanaście bliskich kobiet, aby każda z nich napisała dedykację dla córki na jeden miesiąc w roku. Zebrała te rady i wręczyła

córce księgę kobiet w formie wydrukowanej książki na urodziny. Jedną z tej dwunastki miałam zaszczyt być ja. Długo myślałam, co powinnam napisać. Co może być drogowskazem. Co napisałabym własnej córce, jeśli będę ją kiedyś miała. Postanowiłam tutaj zebrać cenne myśli, doświadczenia i najlepsze rady od innych kobiet, zamknąć je w tej książce jak w drogocennym kufrze.

Wszystko zaczyna się w sercu, od marzeń. Czuję się wdzięczna, że mogę być dziś tu, gdzie jestem, że może i po kilku zakrętach, ale w końcu spełniły się moje dziecięce marzenia. Każdego dnia zaczynam marzyć na nowo i mam nadzieję, że nigdy nie przestanę. Na dnie serca mam marzenia ciągle niespełnione, takie, które nadal czekają na swój czas. Moja pierwsza bohaterka, niezwykle inspirująca kobieta, która osiągnęła w życiu ogromny sukces, opowiedziała mi o swoim marzeniu, od którego u niej wszystko się zaczęło, i o tym, jak musiała o nie walczyć i dokąd ją to zaprowadziło...





Joanna Jędrzejczyk

*zawodniczka MMA, muay thai
i kickboxingu oraz mieszanych sztuk walki,
była mistrzyni organizacji UFC*

Joanna Jędrzejczyk, zawodniczka mieszanych sztuk walki, wielokrotna mistrzyni świata, to osoba, którą podziwiam za determinację. Mało której polskiej sportsmence udało się zrobić taką karierę na świecie. Ta niezwykle silna i charyzmatyczna kobieta kryje w sobie jednocześnie delikatność i przebojowość. Od początku spotkania w warszawskim hotelu Marriott, który jest dla Joasi jak drugi dom, kiedy tylko przebywa w Warszawie, łapię się na tym, że przyglądam się jej z zaciekawieniem, a ona, przyzwyczajona do tego spojrzenia, pyta mnie troskliwie, czy nie jestem głodna, i z uznaniem zwraca uwagę na moje sneakersy, które sama kolekcjonuje i do których ma dużą słabość.

KASIA: Bardzo się cieszę, że możemy się spotkać i poznać. Zawsze budziłaś moją ciekawość. Twardzielka, która jest jednocześnie taka kobieca.

JOANNA: Ja też się bardzo cieszę ze spotkania. To był dla mnie ważny punkt dzisiejszego dnia.

Czym w ogóle dla ciebie jest kobiecość? Kiedy słyszysz „kobiecość”, to co sobie myślisz?

Kobiecość to siła. Kobieta kojarzy mi się z kimś silnym i zarazem bardzo wrażliwym, kimś, kto przede wszystkim zawsze pozostaje sobą. Większość z nas jest lub będzie matką – jesteśmy filarem życia. Kobieta, rodząc i wychowując dzieci, ma niezwykle zadanie do spełnienia, tutaj nie ma czasu na jakieś zagrywki. I to jest to. Takie wyjątkowe powołanie kobiety.

Jak to jest być na co dzień w „męskim” sporcie, bo chyba taki jest stereotyp o sztukach walki?

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że na co dzień uprawiam dość mocny sport – sport zdominowany przez mężczyzn, ale nie lubię słowa „stereotyp” i nie lubię mówić, że walczę ze stereotypami. Nigdy tego nie robiłam. Czuję się stuprocentową laską w dżinsach, w dobrych kiksach i tak naprawdę w męskim sporcie. Uważam, że w XXI wieku – w czasie postępu technologicznego, rozwoju medycyny – nie ma miejsca na podziały



na „lepszach” i „gorszych”. I nigdy tego nie powinno być. Nieważne, jakiej jesteś nacji, koloru skóry, wyznania czy płci. Jestem przekonana, że kobiety mogą robić wszystko. Każdy z nas – kobieta czy mężczyzna – zasługuje na to, aby robić to, co mu się w życiu podoba. I każdy z nas powinien dążyć do tego, aby być osobą, którą chce być.

Nigdy nie spotkałaś się z tym, że jesteś jako kobieta traktowana inaczej?

Spotkałam się. Ludzie często myślą, że dziewczyna, która uprawia sztuki walki, musi wyglądać jak babochłop, nie potrafi się ubrać, nie ma w sobie za grosz kobiecości, ale jest zupełnie odwrotnie. Często spotykam się wręcz z aprobatą mężczyzn. Ta aprobata jest jeszcze podsycona właśnie tym, że trenuję sztuki walki – coś mocnego.

Tak, zdecydowanie nie lubię słowa „stereotyp”. Ludzie zawsze próbowali mi narzucać różne formy, ale największy problem polega na tym, że my sami wpasowujemy się w schematy. W ogóle mamy kłopot z wyjściem ze swojej strefy komfortu. Moi rodzice są prawnikami? Ja też muszę być prawnikiem. Moi rodzice nie osiągnęli nic w życiu? Ja chyba też nic nie osiągnę. Nie! Wszystko możemy. Uważam, że wszystko jest w głowie i w serduchu.

Nawiązując do wiary – zawsze to powtarzam – dostałam od Boga talent, który odnalazłam dość wcześnie, albo może późno jak na sportowca, nie wiem. Ale najwidoczniej to było moje powołanie, bo nie zostawiam go dla siebie, tylko dzielę się z ludźmi. I wierzę, że kiedy zakończę karierę, dostanę kolejny talent, który będę mogła wykorzystać po to, aby stać się lepszym człowiekiem. A ludzie często się zatrzymują, boją się próbować. Powinniśmy próbować, bo nigdy nie przestaniemy się uczyć. Do końca życia.

A kto był dla ciebie wzorem kobiecości?

Chyba moja mama. Nie mamy „sztucznej” relacji, baaardzo się kochamy i jesteśmy dla siebie najważniejsze. Mój dom był pełen ciepła, jednak nie było u nas takiej lukrowanej miłości, którą czasem można zaobserwować

w innych domach – mama sto razy na dzień powtarza „kocham cię”, ale kiedy masz osiemnaście lat, bierze na ciebie kredyt i robi krzyżyk na drogę, mówiąc kolokwialnie. U nas zawsze była szczerza miłość. I często ktoś mnie pyta: „Jak byś przedstawiła swoją mamę?”. Odpowiadam wtedy: „Chyba dla każdego mama zawsze będzie po prostu kochaną mamą, taką najcudowniejszą istotą i najważniejszą kobietą w życiu”. Nie przypominam sobie, żeby na nas krzyczała. Okej, może i się zdarzało, że ścierką nas nawet zdzieliła, ale jak już moja mama podniosła na nas głos, to musiałyśmy naprawdę sobie na to zasłużyć. Mama była i jest dla mnie najważniejsza. I fajny jest ten nasz babiniec. Wiesz – jestem ja, dwie siostry, moja mama. Śmiejemy się, że tata był jak król, bo nawet nasz piesek to była sunia. Tak że całe szczęście, że ma teraz wnuka. Ale życie raczej kręci się wokół moich sióstr i mojej mamy.

Jesteś bardzo związana z rodziną. Czytałam, że ty w ogóle już jako dziecko zaczęłaś pracować. Że wcześniej wstawiałaś, jeździłaś na giełdę, pomagałaś rodzicom.

Zawsze byłam taka aktywna. Mnie było wszędzie pełno. Mam dwie siostry: sześć lat starszą i siostrę bliźniaczkę. Teoretycznie jestem średnia, ale to ja zawsze byłam przebojowa i zawsze musiałam postawić na swoim. Byłam taka charakterna. Rodzice nas tego nauczili, bo żeby zapewnić nam dobry byt, dobre wychowanie, ciężko pracowali. A ja w ogóle od urodzenia czuję, że mam dług do spłacenia rodzicom. Dali mi coś bezcennego: życie. Kiedy więc ktoś mówi: „O! Pewnie będziesz mieszkała w Stanach, bo spędzasz tam dużo czasu”, odpowiadam: „Nie! Moje miejsce jest przy rodzinie, przy moich rodzicach”. Niedawno kupiłam dom, żeby być jak najbliżej nich.

W Olsztynie?

Tak. Bo tak jak oni mnie wychowali, tak samo teraz muszę zadbać, żeby mieli godną starość. Oni jeszcze są młodzi, ale chcę przy nich być, wspierać ich, na ile będę mogła. Dla mnie jednak najważniejsze jest to, że będę dla nich na wyciągnięcie ręki, bo oni dali mi życie. Rodzice dali

mi dobry przykład. Ludzie często mnie pytają, co pozwoliło mi odnieść sukces. Kiedyś odpowiadałam, że ciężka praca i talent. Po wielu latach jednak doszłam do tego, że... ciężkiej pracy nauczyli mnie rodzice, a tak naprawdę to jest dyscyplina.

A czym się rodzice zajmowali?

Prowadzili biznes – mały sklepik osiedlowy: mięso i warzywa. Ja ogarniałam warzywa, później cały sklep...

Jeździłaś po te warzywa.

Tak. Ludzie często myślą, że w życiu mi łatwo poszło, że rodzice wyłożyli pieniądze na moje treningi, a właśnie tak nie było. Bo wstawałam o czwartej–piątej rano, jechałam po towar, przywoziłam go do sklepu, potem miałam trening między dziesiątą a jedenastą, wracałam do pracy, znów biegłam na trening o osiemnastej, w domu byłam dopiero o dwudziestej drugiej i następnego dnia to samo. Tak że to był naprawdę ciężki okres.

Czyli kobiecość jako pracowitość, zorganizowanie, ambicja.

Zdecydowanie. Taka samorealizacja. I taka wewnętrzna siła, która pozwala udźwignąć ciężar życia i to, że nawet przy nadmiarze obowiązków idziemy przed siebie.

A pamiętasz pierwsze zarobione pieniądze?

O tak, i pamiętam w ogóle pracę w OHP – Ochotniczym Hufcu Pracy. Sama znalazłam ogłoszenie, że dzieci mogą tam pracować. Wstawałam o czwartej trzydziści rano, jechałam rowerem pięć–sześć kilometrów, żeby sprzedawać gazetę. „Gazetę Olsztyńską”.

Ile miałaś lat?

Nie wiem, może jedenaście–dwanaście, może trzynaście. Mój tata pytał: „Dziecko, ile zarabiasz?”. „No, z dziesięć–dwanaście złotych, tato”. Byłam z tego dumna. Tata na to: „Dziecko, dam ci te dwanaście

złotych, bo nie mogę patrzeć, jak ty wstajesz o wpół do piątej rano”. „Tato, to nie chodzi o pieniądze, to chodzi o to...” – już wtedy czułam, że budowałam siebie. I to było coś wspaniałego. Tak to wyglądało.

A sklep rodziców działa nadal?

Nie, zmusiłam mamę, żeby zamknęła go w zeszłym roku. Tak zrobiła. Fajnie, cieszę się, bo bardzo dużo pracowała przez wiele lat. Ale przyszedł taki czas, że nie było z tego pieniędzy, nie było nic. Ja miałam pięć euro w kieszeni, mieszkalam w Holandii, nie wiedziałam, czy kupić sobie chleb czy pojechać na trening. To był taki moment krytyczny, pomyślałam nawet, że czas skończyć ze sportem. Ale wtedy poczułam, że szkoda to zostawić, że to wspaniała historia, będę robiła coś więcej. I dostałam szansę. Taka jest najwidoczniej moja misja na tym świecie.

Każdy z nas ma czasem bardzo, bardzo ciężkie chwile. W najmniej spodziewanym momencie doznawałam jakiejś kontuzji czy urazu albo coś innego się zawałiło. Takie doświadczenia nas kształtują. Traktuję podobne sytuacje jako próby. Biorę je na klatę i pokazuję, kim naprawdę jestem i jak bardzo chcę osiągnąć sukces, spełnić swoje marzenie czy zrealizować założony cel. Uważam, że jesteśmy tyle wari, ile potrafimy od siebie dać.

Skąd w ogóle u dziewczyny z Olsztyna marzenie o sztukach walki?

Zawsze chciałam być najlepsza. I zawsze chciałam czegoś więcej. Pragnęłam dać coś od siebie światu. Chciałam być takim ułamkiem procenta, osobą, która robi coś innego niż wszyscy, coś oryginalnego, i to mi się chyba udało.

Co jest takiego pociągającego w tym akurat sporcie?

Ludzie mówią: „Ja nie wiem, jak ty możesz tak robić – uderzać kogoś, pozwalać na to, że ktoś cię bije. Jak tak można?! Przecież te siniaki, to boli”. Wiecie co? Nie chodzi o bicie się. Okej, chcę komuś pokazać, że jestem silniejsza, jestem szybsza, że jestem po prostu lepiej przygotowana. Ale cały czas chodzi przede wszystkim o sport. Ja się zakochałam

w tym sporcie już po pierwszym treningu, jak zobaczyłam, że przełamuję własne bariery, przekraczam własne limity. Że staję się każdego dnia lepszą wersją siebie. Teraz chodzi wyłącznie o sport i udowodnienie sobie, że tak – mogę przetrwać ten *camp*, rozłąkę z bliskimi, dietę, a potem wyjść na ring i pokazać, że jestem najlepsza na świecie. Tym się musimy kierować. Jeżeli coś sobie założymy, dążmy do tego. Nawet jeśli to zajmie dwa lata – zrobmy to!

A ty miałas kiedyś taką sytuację, że stanęłaś pod ścianą i pomyślałaś sobie...

Każdego dnia przeżywam takie chwile. Rezygnowałam ze sportu pięć razy i zawsze myślałam sobie: „Trudno, nie wyszło, to nie wyszło. Fajna przygoda, czas napisać kolejną historię”. Nie płakałam nad tym. Oczywiście było mi żal. Ale zawsze się modliłam: „Boże, daj mi jeszcze jedną szansę. Może jednak...?”. I ta szansa zawsze się pojawiała. To nagle bum! Poszło. I każdemu chcę powiedzieć, że nie byłam w czepku urodzona, nie wszystko mi się układało. Przeszłam naprawdę trudną drogę, żeby być tutaj, gdzie teraz jestem, i cieszę się, że mogę w pełni wyrażać siebie i się realizować. Problemem jest to, że ludzie nagle widzą sportowca w reklamach. Mówią: „Hej! Wróć na salę treningową”. My naprawdę ciężko walczyliśmy o każdy kawałek chleba. Jak wspominałam – pracowałam w sklepie, zadłużałam się, żeby móc wyjechać i robić karierę. Wyjazd do Tajlandii na mistrzostwa świata na przykład kosztował osiem tysięcy złotych. Żeby reprezentować nasz kraj, dumnie nosić orzełka na piersi, musiałam do tego dokładać, pracowałam i nikt wtedy tego nie widział. Nie było osób chętnych do pomocy, sponsorów. A teraz nagle ludzie widzą reklamy, widzą mnie w telewizji, ale nie wiedzą nic o mojej przeszłości. Są jednak klienci naszego sklepu, którzy do tej pory, kiedy spotykają moją mamę, mówią: „Wow! Asi się naprawdę udało. My pamiętamy, jak ona pracowała w sklepie! Tu chodziła na trening”. Wiesz, to był *hardcore*, ale nie oglądałam się na nic. Chociaż były momenty zwątpienia...

W końcu po latach ciężkiej pracy i wyrzeczeń jesteś najlepsza na świecie. Jesteś mistrzynią. Jakie to jest uczucie?

To jest coś wspaniałego, ale ja i tak pamiętam, co było kiedyś. Płakałam zawsze, kiedy wręczano mi pas, bo to dla mnie był niesamowity moment, bo ja nadal jestem tą samą Joanną sprzed dziesięciu czy piętnastu lat, tą Joanną, która miała tylko marzenia. I bardzo mocno to doceniałam i doceniam nadal, że mi się udało, że się nie poddałam, że znalazłam w sobie takie pokłady siły, żeby się nie poddać. Żeby walczyć o swoje marzenia. Żeby walczyć o siebie. O to, żeby być sobą i pokazać się światu.

Tak sobie myślę, słuchając cię, że tutaj, w kraju, masz kochającą rodzinę, takie ogromne wsparcie. A w świecie, tam, daleko w USA, jesteś zupełnie sama.

To jest trudne.

Tęsknota? Czy to jest największa cena, jaką płacisz za sukces?

To jest bardzo, bardzo ciężkie, dużo mnie to kosztuje. Przed walkami często mówię, że ta tęsknota, rozłąka z rodziną – to jest najtrudniejsze. Codziennie staram się dzwonić do bliskich czy rozmawiać z nimi przez FaceTime. Filary mojego życia to wiara i rodzina, dzięki nim jestem silniejsza, mam jeszcze większą motywację do działania. Chcę, żeby czas szybciej upłynął, żebym szybciej się realizowała, mam siłę, by robić jeszcze więcej, bo chcę się z nimi szybciej spotkać – to jest moja największa nagroda. To, że się wkrótce z nimi spotkam po walce.

To nie jest łatwe, ale ja wiążę moją przyszłość – tak jak już wspomniałam – z rodziną. Ludzie widzą mnie w wielkim świecie, a ja chcę od niego uciekać. Wszyscy się dziwią, radzą: „Uciekaj z Olsztyna! Uciekaj z Polski! Możesz rozkręcić to czy tamto”. Mówię: „Nie!”, bo to nie jest celem mojego życia. Chcę założyć w Olsztynie swoją kawiarnię, własny biznes. Chcę wspierać kobiety, stworzyć fundację i pomagać dzieciakom, tak jak to teraz robię. Ale wierzę, że to się uda właśnie w Olsztynie, gdzie się urodziłam, wychowałam i gdzie chcę w przyszłości wychować swoje dzieci.



Tak się widzisz w przyszłości? W domu w rodzinnych stronach z rodzinką?

Tak, w Olsztynie. Zdecydowanie. Zresztą wpisuję się w tradycję, która jest bardzo silna w Polsce – założenia rodziny i posiadania domu. Pewnie przez to, że byliśmy tak tłamszeni przez lata podczas wojen i wszystko nam zabierano i niszczone. Teraz cenimy domowe ognisko.

Czy tobie tego domu brakuje, skoro mieszkasz praktycznie ciągle w hotelach?

Brakuje. Nie lubię życia w hotelach i tęsknię za rodzinnym domem, za takimi przyziemnymi, prostymi sprawami.

Pewnie nie zawsze jest łatwo pogodzić to zaangażowanie w karierę i bycie w podróży z życiem prywatnym.

Dokładnie, chociaż wiem, że na to też jest czas. Próbuję nie przekroczyć pewnej granicy, nie żyć wyłącznie dla kariery. Ale łatwo się mówi... Przez ostatnie trzy tygodnie byłam w Holandii, teraz na dwa tygodnie przyjechałam do domu. W Olsztynie będę spała jedynie przez trzy czy cztery dni i tylko wtedy będę miała możliwość spotkania się z bliskimi. Coś kosztem czegoś.

Ktoś powie: dobra, gada o rodzinie, że tak chce być blisko, a żyje na walizkach. Ale to jest mój czas i wiem, że moi bliscy mają świadomość, że przez wiele lat pracowałam na to, żeby być tu, gdzie teraz jestem. Żeby się realizować. Oni są nie tylko rodziną, ale i przyjaciółmi. Wielu przyjaciół zresztą straciłam, bo nie mogli zrozumieć, że nie mam czasu na imprezy, nie mogę pójść na pizzę, bo jestem na diecie, czy nie dam rady się wyrwać na kawę. Ludzie się za to obrażali, co świadczy o tym, że tak naprawdę chyba nie do końca byli moimi przyjaciółmi, skoro nie wiedzieli, co jest moim celem i jak chcę się realizować.

Czego ludzie o tobie nie wiedzą? Jak wygląda twój zwyczajny dzień? Masz trenera na co dzień, dietetyka...

Tak. Wiadomo. To jest życie zaplanowane co do minuty. Siedzę na Florydzie. Do walk przygotowuję się przez dwa–trzy miesiące, trenując dwa–trzy razy dziennie. Niedziela jest dniem odpoczynku. Wyczekuje się tej niedzieli, a czas ucieka bardzo szybko i przychodzi kolejny poniedziałek. Chociaż ja akurat lubię poniedziałki, bo to jest początek czegoś nowego. Szansa rozpoczęcia kolejnego tygodnia z przytupem, nowe możliwości. I ta dieta – nieodłączny element mojej codzienności. To raczej jest trening–dieta–regeneracja, trening–dieta–regeneracja i tak przez trzy miesiące. Życie w zamknięciu. Jestem trochę jak mnich w klasztorze. Często się zresztą słyszy takie porównania, i coś w tym jest, surowe reguły jak w zakonie. Nie ma czasu na życie na miarę przeciętnego Kowalskiego.

Masz takie dni, kiedy mówisz sobie: nie chce mi się – dzisiaj zostaję w domu i jem pączki albo czekoladę?

Nie mogę sobie na to pozwolić, bo wiem, że ten mały kawałek czekolady będzie mnie bardzo dużo kosztował.

Skąd czerpiesz motywację?

Wiesz co, właśnie to jest bardzo proste. Moje cele i marzenia są moją motywacją. Bo wiem, że jeżeli nie wstanę z łóżka, nie pójdę na trening, to jestem jeden trening w plecy, podczas gdy moja przeciwniczka ciężko pracuje i się rozwija. Ale tak jest w każdej dziedzinie: jeżeli mam się nauczyć tekstu, bo gram w filmie, a tego nie zrobię, zawali się cała piramida. Przygotowania są bardzo trudne: nie opuszcza mnie ogromne zmęczenie fizyczne, a do tego dochodzi wyczerpanie psychiczne. Naprawdę często jest tak, że się nie chce wstać z łóżka. Ale wtedy musisz wybrać: dobra – zatrzymujesz się i nie osiągasz tego, co chcesz osiągnąć, albo kopiesz się w tyłek, idziesz na ten trening i po prostu robisz swoje. Ja zawsze powtarzam ludziom, że można zwolnić, ale nie można się zatrzymać w realizacji swoich marzeń.

Zastanawiałam się, jak to jest: tyle wkładasz serca i czasu w sport i kiedy osiągasz sukcesy – jest super. Ale co, jeżeli się nie udaje? Jeżeli walka nie pójdzie po twojej myśli? Jak radzisz sobie z porażką?

Właśnie, porażka. Ja raczej mówię o przegranej, bo porażka jest dla mnie równoznaczna z poddaniem się: upadasz i już się nie podnosisz, leżysz. Wszyscy jesteśmy fighterami od urodzenia. Od pierwszych chwil życia musimy walczyć z otaczającym nas złem i mierzyć się z różnymi przeciwnościami. Musimy walczyć o wszystko. Zauważ, nawet dziecko, rodząc się, walczy o pierwszy oddech. I codziennie się potykamy. Tylko od nas zależy, jak będziemy chcieli to przyjąć. Czy weźmiemy to „na klatę”, czy przyjmiemy na ramiona ten swój krzyż i będziemy go dźwigać, czy po prostu siądziemy pod jego ciężarem i nie ruszymy z miejsca. Ludzie powiedzą: wariatka – to jest takie proste, może ktoś ją tego wyuczył. Nie. Ja może przez to, że uprawiam męski sport – faceci są zero-jedynkowi – też jestem trochę taka zero-jedynkowa. Albo tak, albo nie. Jest opcja A, jest opcja B. Jeżeli nie wychodzi A, to nie płaczę, że A nie wyszło, bo jest teraz B. Trzeba się pogodzić z tym, co jest, i cieszyć się z tego. Gdy przychodzi przegrana – mnie to spotkało w takim *prime time*, to było takie megabum! – były łzy i pomyślałam sobie: kurczę, co teraz? Zobaczyłam wtedy mojego siostrzeńca Adasia i to on dał mi siłę. Stwierdziłam: „Rany, dzisiaj jestem sportowcem, ale przecież poza tym, że jestem sportowcem, jestem kobietą, jestem człowiekiem o wielu zainteresowaniach, wielu pasjach, wielu projektach”. Otarłam łzy i postanowiłam, że muszę pokazać temu małemu człowiekowi, który się rozwija, który jest we mnie zapatrzony, że raz się wygrywa, raz się przegrywa. Muszę mu pokazać, że życie toczy się dalej. Że nie możemy sięść i się załamać. Oczywiście doświadczenia przegranej są nieprzyjemne, bolesne, ale takie właśnie jest życie. Chyba nie ma nikogo, kto miałby je usłane różami. Gdy ludzie patrzą na mnie, mówią: „Wow! Jakie ty masz fajne życie!”. A ja powiem wszystkim: „Słuchaj, u każdego coś się dzieje. Jeżeli nie dzieje się dzisiaj, to stanie się jutro. I uwierz mi, że u jednego wyjdzie słońce po jednym dniu, a inni będą musieli czekać kilka lat, by je zobaczyć. Ale

warto czekać”. Mnie pomaga w tym wiara. Może nie jestem przykładną katoliczką, ale walczę o to, żeby się nią stać.

Jak zaczynasz każdy dzień?

Oczywiście od telefonu. Trzecia ręka – wszyscy to znamy. I wiesz co? Instagram jest moją mocną stroną, chcę dzielić życie z fanami, odpisywać im. Sama prowadzę swoje konto, ale tak naprawdę, zanim sprawdzę wiadomości czy połączenia, które są już od rana, mam absolutny wewnętrzny przymus, by zajrzeć do apki „Modlitwa w drodze”. To jest aplikacja, którą odpalam jako pierwszą. Są tam czytania i rozważania na dany dzień. To mi bardzo dużo daje. Wcześniej sięgałam do niej przed snem, ale pomyślałam, że muszę czytać te słowa rano, aby znaleźć chwilę, chociaż pięć minut na bliższą relację z Bogiem, na zastanowienie się nad Jego przesłaniem dla mnie na każdy kolejny dzień. Bo tam zawsze jest sugestia pracy nad sobą i to mi bardzo, bardzo pomaga.

W jaki sposób wiara pomaga?

Mnie wiara pomaga przyjmować życie takim, jakim ono jest. Że tak właśnie miało być i trzeba się pogodzić z wolą Bożą.

Właśnie ujęło mnie, jak gdzieś przeczytałam, że ty się nie modlisz o wygraną, tylko modlisz się, żeby przyjąć też przegraną, i o czyste serce. Skąd w ogóle taka myśl?

Jest taka modlitwa przed treningiem: „Boże, daj mi ducha walki, silną wolę i czyste serce”. A ja mam swój mały modlitewnik, z którego się modlę tylko przed walkami, i tam jest też między innymi modlitwa do Joanny d’Arc, która mówi, że w ciężkich chwilach trzeba przyjąć wyrok taki, jaki jest. Bez względu na to, czy mamy na niego wpływ, czy nie. A często nie mamy wpływu na to, jak się zachowują inni ludzie, jakie są decyzje organów ścigania, władzy czy instytucji, i raczej tak to powinno wyglądać. Zawsze mam też obrazek Świętego Jana Pawła II, którego proszę o to, żeby dał mi siłę, bo wiesz co, ja jestem z pokolenia JP II. I zawsze mówię: „Pozwól mi być choć w części taką Polką, jakim ty byłeś Polakiem – niosłeś wiarę,

reprezentując przy okazji naszą ojczyznę na arenie międzynarodowej. To pozwól mi robić to samo”.

Ale właśnie to robisz. Przynosisz dumę swoimi walkami i postawą.
Fajnie. Miło to słyszeć.

Zawsze też nawiązujesz do tego, skąd pochodzisz, skąd jesteś, w co wierzysz... Wzruszyłaś się teraz? Widzę łzę w twoim oku.

Wiesz, naprawdę tak. Bo często słyszę: „Zdejmij ten krzyż! Jak w sztukach walki możesz promować wiarę?!”. Jak wychodzę do walki, to albo słyszę: „Fajnie, że to robisz”, albo: „O, że nie wstydzisz się o tym mówić!”. A ja się dziwię: Czego miałabym się wstydzić? Czy tego, że wyglądam tak, a nie inaczej? Czy tego, że nazywam się Joanna Jędrzejczyk? Tak samo nie mogę się wstydzić swojego pochodzenia. Nie mogę się wstydzić swojej wiary, a wręcz powinnam ludziom powiedzieć, kim jestem, aby mogli mnie lepiej poznać, zrozumieć, czemu podejmuję takie, a nie inne decyzje, skąd moje przyzwyczajenia, zachowania.

Kolejna rzecz: ludzie potrzebują Boga. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Ludzie czasami nie wiedzą, że szukają właśnie Boga. Idą na przykład na jogę i medytują. Okej, katolicy powiedzą: ale to grzech. Ja uważam, że nie ma nic złego w uprawianiu jogi, jeżeli nie traktuje się jej jak oddawania czci innym bogom, tylko jak zwykłe ćwiczenia. Ludzie potrzebują Boga. Nawet gdy ktoś mówi: jestem wierzący, ale niepraktykujący, albo jestem ateistą – Guccio prawda. My wszyscy potrzebujemy Boga. A czemu ludzie teraz chętniej przechodzą na inne religie? Przez to, co się dzieje w naszym Kościele. Ale ludzie nie powinni potępiać nas, katolików, czy wiary katolickiej, tylko instytucje Kościoła. Trzeba jednak pamiętać, że ksiądz jest tylko człowiekiem, jak każdy popełnia błędy. Są też lekarze, którzy popełniają błędy. Są sędziowie. Tak jest wszędzie.

Da się połączyć sztuki walki i wiarę?

Tak. Nie bardzo wiem, dlaczego to by się miało wykluczać. Że ja wyrządzam komuś krzywdę? Nie wyrządzam nikomu krzywdy! To jest sport

o jasno określonych regułach i dwie osoby piszą się na to dobrowolnie, przyjmując je. Wszystko jest w granicach sportu.

A czy można połączyć walkę z kobiecością?

Jak najbardziej. W ogóle uważam, że siła jest kobietą. Dlatego często używam hashtagu #hitlikeagirl lub #fightlikeagirl, czyli „uderzaj jak dziewczyna”. W tym nie ma nic złego. Każdy robi coś w swoim stylu i tyle.

Jak to jest uderzać jak dziewczyna?

Mocno i z wielką determinacją.

Trafnie powiedziane. Tak sobie myślę, że jest dużo kobiet, które powinny czasami uderzyć. Powinny się odezwać.

Jak najbardziej. Sama czasem łapię się na tym, że brakuje mi siły. Boimy się. Teraz nawet mężczyźni są słabi, im także zdarza się bać, ale faktycznie – dotyczy to szczególnie kobiet. Bardzo długo nie miałyśmy pełni praw. Nie mogłyśmy głosować, nie mogłyśmy pracować w służbach mundurowych, nie mogłyśmy się angażować w politykę, nie mogłyśmy decydować. A teraz się rozwijamy i nie chodzi o to, żeby być jakimiś zagorzałymi feministkami, nie w tym rzecz. Nie powinnyśmy się czuć stłamszone przez to, co było wiele lat wcześniej. Powinnyśmy mieć prawo głośno mówić o tym, co nam się dzieje. Czy dzieje się krzywda, czy jest ekstaza – powinnyśmy o tym głośno mówić, zdecydowanie. Widzę, że kobietom brakuje sił, aby jasno powiedzieć, co się dzieje.

Pewnie niejedna kobieta pisała do ciebie o swoim życiu. Kobiety szukają u ciebie siły?

Tak, piszą do mnie, przedstawiają swoje historie. Często bardzo dramatyczne. Jedyne, co mogę im dać, to uśmiech, dobre słowo i wsparcie, na ile potrafię, ale czuję się strasznie bezsilna.



A co byś powiedziała takim kobietom, które właśnie są stłamszone, tkwią w związkach przemocowych?

Wiesz co, sama byłam w związku przez dziewięć lat i chociaż nie można go nazwać patologicznym, widzę dziś, że był w jakimś stopniu toksyczny. Trudno było mi się uwolnić.

Dlaczego tak jest? Kobietom często trudno jest odejść, chociaż wiedzą, że trwanie w związku jest dla nich złe.

Często myślimy, że nie zasługujemy na nic więcej, tracimy swoje poczucie wartości. A powinniśmy właśnie zrobić ten pierwszy krok, odważny krok. Każdy z nas zasługuje na dobro. I każdy z nas zasługuje na miłość, na to, aby być tym, kim chce. Kobiety uwikłane w toksyczne relacje powinny poszukać pomocy gdzieś blisko, w swoim otoczeniu. Nie powinny się bać oprawców albo tego, że nie zasługują na nic więcej. Każda z nas, każda kobieta tworzy inną, wyjątkową historię. I każda z nas powinna o tym pamiętać, zwłaszcza gdy rodzi się pokusa, by porównywać się z innymi, sprawdzać, która jest piękniejsza czy szczuplejsza. Co to znaczy „piękna”? Co to znaczy „szczupła”? Są jakieś normy? Nie ma! Czy ja jestem wystarczająco wykształcona? Nie ma czegoś takiego. Każdy z nas jest piękny na swój sposób i ma prawo do własnego życia.

Ale skąd wziąć siłę do takich kroków? Mówisz, że po dziewięciu latach byłaś w stanie wyjść z relacji, bo nie była dla ciebie dobra.

To się tak łatwo mówi. Przez rok zaliczyłam cztery powroty. Wszystko, co się działo przez ten rok, mocno wpłynęło na moje codzienne funkcjonowanie i bardzo zaburzyło moje wyniki w sporcie. Nie mogę teraz mówić, że te przegrane były wynikiem mojej sytuacji osobistej, ale prawda jest taka, że nie miałam czystej głowy. Miałam problem. Sama wiesz, że gdy w domu coś ci nie wychodzi albo wpływa na ciebie coś toksycznego, to się wali po prostu wszystko.

Od razu.

I chociaż bierzemy to na klatę, myślimy sobie: „Nie, ja dam radę, wszystko jest dobrze”, to gdzieś z tyłu głowy jest po prostu coś, taki ślepy punkt, który nie pozwala ci zrobić pewnych rzeczy, zrealizować planów. Coś, co cię trzyma i nie pozwala zrobić kroku.

Kiedy jest ten moment, że trzeba odejść? Jeśli ktoś nas ciągnie w dół?

Myślę, że gdy ktoś nas bardzo mocno ogranicza. Gdy ktoś nas strofuje. Gdy ktoś nie pozwala być sobą – to jest najgorsze, co może być. Albo gdy ktoś próbuje nas zmieniać na siłę. Nagle tej osobie zaczynają przeszkadzać rzeczy, za które nas pokochała jakiś czas temu – to jest dla mnie abstrakcja. Jeżeli kogoś kochamy bardzo mocno i budujemy relację, to moim zdaniem powinniśmy to pielęgnować i o to dbać, a często ludzie o tym zapominają i nagle zaczyna się festiwal oczekiwań. Związek to nie jest jednostronna praca, tylko obopólny wysiłek.

Właściwie chyba my, kobiety, często próbujemy zadowolić cały świat, a o sobie myślimy na końcu.

Wiesz co? Ja też często o sobie zapominam. Zresztą jestem podobnym typem jak moje babcie. Przyjedziesz do mnie, to zastawię stół, będę gotowała, będę o ciebie dbała, jeszcze wyprawię cię na drogę.

Gotujesz?

Tak, bardzo to lubię. I obdarowuję prowiantem. Moi znajomi często się z tego śmieją, ale wiesz co, bycie szczęśliwą sama ze sobą – to jest bardzo ważne. Bo dopóki nie będziesz szczęśliwa sama ze sobą i nie będziesz się czuła dobrze we własnej skórze, nie uszczęśliwisz nikogo innego. Będziesz próbowała, ale nigdy się to nie uda. Ja też, chociaż w tym roku skończyłam trzydzieści dwa lata, myślałam, że wiem już wiele rzeczy. Ale tak naprawdę poznaję siebie każdego dnia. Pod wpływem emocji, ludzi, miejsc, sytuacji, które codziennie spotykają mnie w życiu.

Czy wiara pomaga ci w tym poznawaniu siebie?

Zdecydowanie. To jest ciągła praca nad sobą i zmiany, ale tak – wiara pomaga mi zobaczyć tę osobę, którą chcę być. Wiadomo, że żyjemy w pięknych czasach – doświadczamy szybkiego postępu w wielu dziedzinach, ale to tak naprawdę jest naszą zmorą, bo to nam zajmuje dużo czasu. Wiara pokazuje mi, co tak naprawdę w życiu jest ważne i co powinno być dla mnie istotne, nad czym ja powinnam pracować. To dla mnie taki kompas.

A co jest ważne dla ciebie w życiu? Jakie wartości?

Bycie przede wszystkim dobrym człowiekiem, takim zawsze fair. Nie powinniśmy obciążać całego świata swoimi problemami czy nadmierne pysznić się sukcesami. Oczekiwać litości, bo nasza sytuacja jest najgorsza na świecie, albo podziwu i kłaniania się w pas, bo odnieśliśmy wielki sukces. To nie tak. Powinniśmy wychodzić do każdego z neutralnym nastawieniem. Po czasie dopiero zobaczyć, co ta osoba tak naprawdę wnosi do naszego życia. Ze złych emocji często rodzi się coś bardzo dobrego, ale to jest kwestia otwarcia się. Przeczytałam o tym w twojej książce i pod jej wpływem teraz próbuję jeszcze bardziej w każdym człowieku dostrzegać to, co chce mi przekazać Bóg. I codziennie się modlę, żeby mieć uszy i oczy mocno otwarte i się na tym skupiać.

To jest mi bardzo bliskie – właśnie takie patrzenie na drugiego człowieka, ale też czasami bardzo trudne. Bo nie każdy jest dla nas miły, kochany... Nie każdego lubimy.

Oj, to jest bardzo trudne, ale właśnie ja się często łapię na tym, że dałam się sprowokować, że wdałam się w jakieś niepotrzebne dyskusje.

I co wtedy?

Wiesz, co robię? Wsiadam do samochodu albo wychodzę. I mówię: „*Gosh!* Czemu znowu dałam się ponieść emocjom?!”.
